



Mirosław Derecki (md)

EKRAN I WIDZ: O CO CHODZI WAJDZIE?

„Ziemia obiecana” Andrzeja Wajdy cieszy się od kilku tygodni niesłabnącym zainteresowaniem publiczności oraz krytyki i zdołano już napisać na temat tego filmu dostatecznie wiele recenzji, żeby zamieszczać jeszcze jedną, spóźnioną, w niniejszej rubryce.

Natomiast można sobie chyba pozwolić na słowo dyskusji na temat ostatniego dzieła Wajdy, tym bardziej, że to właśnie na łamach „Kamery” (nr 8 z 20.IV. br.) Wiesław Horabik dzieli się z czytelnikami swoją „Wajdowską Impresją, która może dawać sporo do myślenia.

W wynurzeniach Horabika po obejrzeniu „Ziemi obiecanej” szczególnie zainteresował mnie ten fragment, w którym zadaje sobie on pytanie: do jakiej to kategorii zaliczyć film Wajdy? „A zatem film historyczny?” - pyta m. in. – „Dokładny obraz rodzenia się kapitalizmu, wzmocniony szkieletem szczegółów i najdrobniejszych reali? A cóż mnie, młodego współczesnego Polaka, to obchodzi? Obchodzi mnie, jak umiera kapitalizm. Jak się rodził, uczono mnie w szkole”.

Zastanowiło mnie, czy większość „młodych, współczesnych Polaków”, oglądających ten film, przyszło na myśl podobne stwierdzenie, które bądź co bądź deprecjonuje w jakiejś mierze „Ziemie obiecanej”. Bo na przykład mnie, który zalicza się do średnio-młodych współczesnych Polaków, właśnie bardzo, ale to bardzo, zainteresował obraz rodzenia się polskiego kapitalizmu przedstawiony przez Wajde, pomimo tego, że mnie także kiedyś, również jak sądzę wyrywkowo, co Horabika, uczono, jak rodził się kapitalizm. Ale też właśnie dlatego, że nie mniej niż Horabika interesuje mnie, jak umiera kapitalizm, chętnie, dla lepszego zrozumienia, staram się uzupełniać swoją wiedzę na temat tego powstania, mimo wiadomości nabytych w pewnym okresie w szkole, a potem w innym - nawet na studiach.

Z tego też chociażby względu zupełnie wystarczyłoby mi, gdyby „Ziemia obiecana” była tylko filmem historycznym, odtwarzającym z dużą drobiazgowością ale też przecież z odpowiednim, historiozoficznym dystansem to, co się działo w robotniczo-kapitalistycznej Łodzi na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Gdyby była czymś, co za pośrednictwem obrazu i dźwięku mogłoby mną o wiele mocniej wstrząsnąć niż przekaz literacki, czy wnikliwie, ale suche opracowanie naukowe.

I może właśnie głównie to, a nie co innego miał przede wszystkim na myśli Wajda, kiedy zwierzał się w ubiegłym roku dziennikarzowi z miesięcznika „Kino”: - „Kiedyś wydawało mi się, że mogę wymyślić film, który będzie moim najlepszym dziełem albo przyniesie mi największy sukces; przekonałem się, że to zawodne. (...) Dziś stać mnie na to, by brać się za temat wart realizacji”.

Bowiem słynny reżyser nie musi wcale brać bezustannie na warsztat wiekopomnych tematów i tworzyć filmów zawierających bezcenne dla ludzkości i dla sztuki uogólnienia, nie musi bezustannie grzebać ale - jak tego za każdym razem oczekujemy od Wajdy - we wnętrznościach polskiej duszy. Nie musi - jak usiłuje ostatecznie podpowiedzieć mu Horabik - tworzyć filozoficznej impresji filmowej pod tytułem: „wielkie miasto - moloł, zabijające humanizm i indywidualność człowieka”. Wielki reżyser chce po prostu od czasu do czasu pokazać z pasją i talentem kawałek historii, naszkicować bardzo grubą kreską mechanizmy tworzenie się jej pewnych etapów, oraz w sposób przekorny i może prowokujący, poddać pod dyskusję istotność i ukierunkowanie swoich dotychczasowych dociekań.

Co się zaś tyczy pewnych przerysowań w „Ziemi obiecanej”, pewnych załamania kompozycyjnych i niektórych nieudolności, jakie są przecież charakterystyczne dla każdego prawie filmu Wajdy, to już temat do zupełnie osobnej dyskusji, na którą może warto by było poświęcić w „Kamieniu” więcej miejsca?

Pierwodruk: „Kamena”, 1975, nr 9, s. 14.